

# Kronika tygodniowa.

Piękna polska jesień, o której śpiewali poeci, a w ślad za nimi idąc wspominał i kronikarz, zdaje się już w łeb wzięła. W ubiegłym tygodniu rozpoczęła się taka paskudna szaruga i takie zimno, że z parasolem nie rozstawał się człowiek ani na krok, a tu i ówdzie można było napotkać szczęśliwców odzianych we futra, a spoglądających z taką dumą na innych śmiertelników, jakby chcieli powiedzieć:

— Czy widzicie jakie my skarby nosimy na sobie?

A mają zupełną rację, dziś za najlepsze „jesiotry“ płaci się grube tysiące. Nic też i w tem dziwnego, że każdy czworonóg, którego matka natura obdarzyła futrzanym pokryciem, patrzy z pogardą na zwykłego śmiertelnika, trzęsącego się z zimna w cienkim i wytartym płaszczku. Cała przecież nadzieja w tem, że jeszcze musimy mieć ciepło, gdyż nie było dotąd „babiego lata“, a bez niego obejść się nie może. „Chłopskie lato“, które tego roku nie dopisało, dzięki świętemu Medardowi, powinno pójść w kąt przed „babim“, boć to rodzaj żeński, dzięki wojnie, zepchnął do tego stopnia męski na drugi plan, iż w najnowszym wydaniu gramatyki Małeckiego z polecenia Rady szkolnej krajowej porządek rodzajów będzie następujący: żeński, męski, nijaki.

Siabsza, czyli piękniejsza (choć nie zawsze...) polowa rodzaju ludzkiego nie darowałaby, gdyby pozabawiono ją jej własnego lata.

Ze więc będzie jeszcze i ciepło i ładnie wierzę, a to tem mocniej, iż onegdaj spotkałem na ulicy jegością w słomianym wprowadzie kapelusza, ale zato w futrzanej świcie. I on nie stracił jeszcze widocznie nadziei, że aura się poprawi, albo też naśladując tylko nasze panie, które przez całe lato paradują teraz w słomianych kapeluszach i delikatnych jedwabkach lub zefirach, ale omatulone w ciężkie, futrzane boa, wystarczające zupełnie na podbicie kurtki dla średniej wysokości mężczyzny. Gdyby przed laty niewiasta pokazała się była w podobnym stroju letnią porą na ulicy, towarzyszyłaby jej z pewnością cała hurma gawiedzi.

Z czasem zmieniają się i mody. Kobieta w lecie we futrze, mężczyzna natomiast w zimie wydekoltowany (i to na wszystkie strony, że aż żal nań patrzeć...), ale z konieczności.

Z tego też powodu jest wskazane, by „babie lato“ było tego roku i ciepłe i długie. Może ono trwać nawet i do samej wiosny, o ile ona będzie ładną i ciepłą, a nawet i do lata, a z pewnością nikt się o to nie pogniewa, najmniej zaś ci, którzy dotąd nie otrzymali z magistratu pozwolenia na zakupno węgla i czekają niecierpliwie na tak upragnioną „kartkę“.

A papier to mający dziś większą wartość niż na przykład obligacja pożyczki wojennej, kartka zastawnicza lub reszka loteryjna, nie też dziwnego, że tak się każdy stara o jego nabycie. Jeden z mych znajomych, który zdarł parę podeszew, zanim się o kartę węglową wystarał, opowiada, że „za grzeszność“ jaką mu pewien pośrednik wyświadczył przy jej wyrobie, zapłacił „tylko“ dwieście koron. Łatwo też jest zrozumieć, że pięści tak drogi cenny dokument niczem matka najulubieńsze swe dziecko i utrzymuje, że raczej woli marznąć przez całą zimę, niż się z nim rozstać.

I kronikarz jest właśnie w trakcie starania się o coś podobnego. Obiecano mu już i tu i tam, ale jeszcze nic nie otrzymał, w każdym razie jest pewnym, że przed zimą znajdzie się w tem miłym położeniu, że dostanie ją w swe ręce, kupi węgle i rozgrzeje skostniałe od mrozu członki przy piecu, któremu stale okazujemy wzgardę, obracając się doń tyłem, a przecież bez niego obejść się nie możemy. Widocznie i w starożytnym Rzymie było także tak trudno o materiały opałowe, więc też i Westalki, utrzymujące wieczny ogień, miały z nim wiele kłopotu i dlatego były tak ogólnie szanowane, że nawet sam konsul, albo burmistrz wiecznego miasta musiał się im pierwszy kłaniać na ulicy i schodzić im z drogi.

Tak być musiało, a nie inaczej, gdyż Rzym stale prowadził wojnę z całym światem, więc też już wówczas musiały panować stosunki podobne tym, jakie my dziś przeżywamy.

Ale tak, jak wszystko musi mieć swój koniec, będzie go mieć i obecna wojna. A jest on prawdopodobnie już bliższym niż się nawet spodziewamy, ale o tem będzie mowa dopiero w tej części kroniki, którą poświęcę polityce. Na razie zająć się mam zamiar sztuką, by Czytelnicy nie narzekali na brak rozmaitości.

Nawiasem muszę wspomnieć, że na sztuce zupełnie się nie znam, podobnie jak wielu z mych kolegów po piórze, pracujących właśnie w tym dziale, nie mi

to przecież nie przeszkadza, by o niej pisać i długo i szeroko, zwłaszcza, że robi się to wówczas z daleko większą swobodą. Jeśli zaś tego nie ożyjnię, to tylko dlatego, by nie ściągnąć na siebie słusznego zresztą zarzutu, iż miesza się w nieswoje atrybucje i innym odbiera chleb, o który dziś tak ciężko.

W ubiegłym tygodniu podziwiałem aż dwie wystawy.

Moja zacna Weronika wyciągnęła mnie na Szecepański plac, gdzie w Pałacu sztuki wystawiono portret jej serdecznej przyjaciółki, odznaczający się podobno „krzyżem podobieństwem“. (Ja tego nie twierdząc, gdyż ozyginalu nie mam przyjemności znać. Kopia, muszę się przyznać, wcale mi się podobala).

Przy tej sposobności podziwiałem też dzieło pana Jacka Malczewskiego, zatytułowane, jeśli się nie mylę, „Ezechiel“, a przedstawiające pole, zasiane kośćmi wraz z nieodzownym antoportretem mistrza. Muszę się przyznać, że tyle kości naraz jeszcze nigdy nie widziałem. Stałem też przed płótnem i wpatrywałem się w nie, łamiąc sobie nad tem głowę, co też ma przedstawiać. A tak, jak ja, czynili i inni.

Kości, kości i jeszcze raz kości.

Obok mnie stał jakiś jegomość o wybitnie semickich rysach twarzy. I on wpatrywał się ciekawie w obraz, poczem, zwracając się w moją stronę, zauważył:

— To warte parę ładnych tysięcy!

Będąc pewny, że ma na myśli cenę obrazu, rzekłem:

— Z pewnością!... Malczewski jest teraz w cenie!

Wpatrzył się we mnie, wreszcie dodał:

— Pan mnie nie rozumie widocznie. Ja miałem na myśli te kości... Ja przed wojną handlowałem kośćmi, więc się znam na tem... Teraz jestem dostawcą wojennym, powodzi mi się też bardzo dobrze. Ale nie ma pan łaskawy pojęcia, ile człowiek musi się nakłopotać, by być o swój grosz spokojnym. Kupowałem złoto i drogie kamienie, ale to nie jest pewny interes... potem zacząłem spekulować na domach, ale one tak poszły w górę, że włożony kapitał nie przynosi ani halera, a do tego się nie wie, czy po wojnie utrzymają się w cenie... Teraz wpadłem na dobry pomysł i kupuję obrazy, ale tylko słynnych mistrzów. Na tem nie stracę, owszem, zarobię i jestem pewny, że mi tego towaru nikt nie zarekwiruje, choćby wina jeszcze, co daj Boże, trwała i lat trzydzieści. Nie zrobię sam na tem gerzeftu, zrobią moi synowie i wunuki... Niema tygodnia, bym nie kupił bodaj jeden obraz...

Pozazdrościłem mistrzom pendzla, musi się im bowiem wieść nienajgorzej, gdy sztuka ma takich mecenasów, gdy my, biedni literaci i dziennikarze, w żaden sposób znaleźć ich nie możemy.

Zawsze to co pendzel, to nie pióro!

Załatwiwszy się z wystawą w Pałacu sztuki, poszedłem Rynkiem i Grodzką w stronę pałacu Wielopolskich, by kontynuować starania o uzyskanie karty węglowej.

Na Grodzkiej ścisk, że przecisnąć się trudno. Byłem pewny, że może tramwaj kogoś przejechał lub zdarzyło się podobne jakie nieszczęście, przekonałem się przecież, że byłem w błędzie. Oczy wszystkich skierowane w jeden punkt, a tym jest wystawa w sklepie masarskim firmy Kurkiewicz.

Na widok tego, co tu znajduje się za szybą, oczy chcą człękowi wyleżeć z orbit, a ślina aż cieknie po brodzie... Tam były same kości, tu mięso, mięso i jeszcze raz mięso... Z poza płotu kielbasianego widnieją sympatyczne szynki, uśmiechają polędwice i boczki, zdają się przemawiać ozory...

Otucha wstępuje w serce... Z głodu nie pomrzemy, skoro dziś, w piątym roku wojny stać nas jeszcze na podobne smakoliki. Panu ministrowi ed wyżywienia ludności spadłyby z pewnością po raz drugi łuski z oczu, gdyby coś podobnego zobaczył...

Takie to wszystko bliskie, a jednak tak dalekie, bo cena nie dla każdego jest przystępna.

Jeśli porównam obie te wystawy, tamtą z Pałacu sztuki i tę z Grodzkiej, tej ostatniej muszę oddać stanowczo pierwszeństwo, autorowi jej podziękować i życzyć mu, by w uznanie swej działalności dla dobra ogółu otrzymał bodaj order za zasługi cywilne, położone w czasie wojny. Urządzanie podobnych wystaw w wojennym czasie jest wskazane, przyczynia się bowiem do podniesienia ducha i podrażnienia bodaj nerwów wzrokowych, jeśli kogo nie stać na to, by taką przyjemność sprawił i smakowym.

Przybywszy z Zachodu nazywają też Galicyę ziemią obiecaną, ale nie mają racji, gdyż jest ona stanowczo w gorszej skórze, niż inne prowincje austriackie.

Wystarczy tylko przypatrzeć się na działalność różnych centrali tu i tam, lub urzędowanie komisji rekwizycyjnych, a przekonamy się, że jest tak, a nie inaczej. Mamy dość mięsa, ale tylko chwilowo i dzięki brakowi paszy, z powodu którego prawie wszystko bydło idzie na rzeź, a nikt się nad tem nie zastanowi, co będzie po wojnie, gdy trzeba będzie rozpocząć ra-

cyonalną hodowlę i intensywną gospodarkę... Ale my dziś żyjemy z dnia na dzień, myślimy tylko o dniu dzisiejszym, zapominając o jutrze, gdy natomiast mieszkańcy zachodnich prowincji czynią zupełnie inaczej, by po wojnie nie znaleźć się w położeniu bez wyjścia.

Jak w Galicyi urzędowały komisje rekwizycyjne, wie chyba każdy. Jeśli wieśniak miał pięć sztuk bydła, zabierano mu cztery, zostawiano zaś „z łaski“ jedną i to naigorszą, gdy tymczasem w innych prowincjach w podobnym wypadku brano jedną, zostawiano zaś cztery, by umożliwić popęd dalszy gospodarstwa.

Skutkiem tego nasz rolnik pozbywał się wcześniej swego bydła, by nie oddawać go za bezcen, szło ono na rzeź, a Galicya miała więcej mięsa, niż inne kraje koronne, które jednak po wojnie znajdują się skutkiem tego w zupełnie innych warunkach.

Tylko więc na oko wydaje się Galicya takim krajem we wszystko opływającym, gdy natomiast ową ziemią obłecaną są *de facto* właśnie te prowincje, gdzie się teraz rzekomo źle dzieje, a cena porcy mięsa rosółowego dochodzi do trzdziestu koron, jak to opowiadał pewien jegomość, który, wracając z południowego frontu, jadł obiad w Villach, a potem nie mógł się dość nadziwić, że w Krakowie tak bajecznie tanio, bo podobna porcja kosztuje tylko sześć koron.

Ale co będzie w przyszłości, po ukończeniu wojny, gdy zaczną wracać powoli normalne stosunki?... Odpowiedź na to chyba bardzo prosta i bardzo łatwa. — Owa Galicya, której dziś wszyscy tak zazdroszczą, znajdzie się nagle w położeniu bez wyjścia i będzie zmuszona oglądać się za obcą pomocą, a tej z nikąd nie będzie się mogła spodziewać.

Koniec wojny zbliża się zaś wielkim krokiem. — Bułgaria poprosiła już koalicję o zawieszenie broni, to samo lada dzień uczyni Turcja. Car Ferdynand abdykował na rzecz swego najstarszego syna, czy jego przykład nie podziała zachęcająco na innych, dotąd nie wiemy.

Rządy w państwach centralnych zaczynają się na gwałt demokratyzować, ale kto wie, czy nie zapóźno. Nawet austriaccy ministrowie zrezygnowali ze swych fraków, a przywdziali demokratyczne marynarki, w których im jakoś nieswoisko, obiecali nawet wziąć osobisty udział w ogólnym demonstracyjnym strajku urzędników, zapowiedzianym na dzień 7. października, aby w ten sposób zadokumentować swą jedność w dążeniu do końca wojny i poprawy marnego urzędniczego żywota. Mowa, którą poseł Daszyński wygłosił w parlamencie, a cenzura przepuściła łaskawie, była od początku do końca szeregiem oskarżeń centralnego rządu za jego dotychczasową politykę. Coraz częściej i otwarciej odzywają się głosy, że wojny mamy już dość i że raz trzeba jej koniec położyć.

Nie inaczej, a nawet jeszcze gorzej dzieje się u naszego sprzymierzeńca, dla którego mieliśmy wyjmować z pieca gorące kasztany. I tam, mimo represji, pokojowe głosy odzywają się coraz częściej i dobitniej.

Jednem słowem, zniechęcenie do dalszego prowadzenia wojny jest już w Europie środkowej ogólne, a jedynym wyjściem z sytuacji jest jak najrychlejsze zawarcie pokoju, a to nie może bez ciar dojsć do skutku.

Stoimy więc w przededniu zmiany karty nie tylko Europy, ale i całego świata, w przededniu zupełnej reformy stosunków społecznych, co mogło przecież być dojsć do skutku nie na tej drodze i nie kosztem tylu ciar.

Nadzieje wielu zawiodły, z boleścią też spoglądają w przeszłość, rozumiejąc dobrze, że to zło, które jest owocem ich zabiegów, już się naprawić nie da. — A przyszłość jeszcze bardziej ich przeraża, nikt bowiem nie może przewidzieć, na czym się skończy, jak i kiedy. To jedno jest pewnem, że dawny porządek już nigdy nie wróci i musi ustąpić z drogi nowemu kierunkowi, mającemu całemu światu przynieść tak upragnione odrodzenie.

Swita już jutrenka swobody, ale jakże drogo okupiona!... Za nią ma zaś rychło zajaśnieć na horyzoncie... słońce zbawienia, mające cały świat powołać do nowego życia.

